



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRANI I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. Na Prowincyi rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. We Lwowie kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. W Krakowie kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. W Poznaniu kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

TREŚĆ: Korespondencya z Paryża. — Dumka (wiersz). — Umarła, przez Oktawiusza Feuillet (dalszy ciąg). — Rycerz Mora (dalszy ciąg). — Ostatnia wyprawa amerykańska do północnego bieguna (dalszy ciąg). — Wystawa konkursowa rzeźb i obrazów. — Przegląd literacki. — Wiadomości z kraju. — Wiadomości z za granicy. W Dodatku: Tajemnica księdza Cezarego. (arkusz 3).

## KORRESPONDENCYA Z PARYŻA.

PRZEZ

Sewerynę Duchyńską.

Obraz pana Andryollego. — Ustęp z poematu Pan Tadeusz. — Konferencya p. Savoignan de Brazza o Afryce środkowej. — Koncert w magazynie *Bon Marché*. — Urządzenie tegoż magazynu.

Zaczynamy korespondencyą naszą, pod niłem nadzwyczaj wrażeniem. Parę dni temu, w pracowni pana Andryollego oglądaliśmy obraz tylko co wykończony. Przedmiot do niego wzięty z ostatniej pieśni Pana Tadeusza: Jankiel grający na cymbałkach.

Jeżeli Mickiewicz zatytułował ten ustęp: *koncert nad koncertami*, my nazwiemy utwór wielkiego rysownika: *obrazem nad obrazami* Andryollego. Artysta, który od dawna nauczył się mierzyć sam siebie własną piędzią, tak w rzeczy samej określa swoje ostatnie dzieło. Tak też ocenili wspaniały utwór i ziomkowie i cudzoziemcy, którzy go oglądali. Głos powszechny uznał, że sztuka polska objawiła się tu w sposób najświetniejszy. Pojmu-

jemy radość artysty, widzi bowiem urzeczywistnione długoletnie sny i pragnienia swoje.

Pan Andryolli w nadzwyczaj krótkim czasie wykonał to arcydzieło dla hrabiego Benedykta Tyszkiewicza, ale w ciągu lat kilkunastu, badał pilnie swój przedmiot i z niezmordowaną pracą zbierał do niego materyały. Sam rozmiar tego obrazu, jest już osobliwością, szeroki na półtora metra, ma jeden metr i ćwierć wysokości. Utworu takich rozmiarów, sztuka rysownicza dotąd nie posiadała.

Trudno zaprawdę oderwać wzrok od tego arcydzieła. Im więcej wpatrujemy się, czy-to w harmonijną całość, czy w charakterystyczne szczegóły, z tem żywszą czujemy radością, że genialny nasz poeta znalazł tak genialnego tłumacza, w znakomitym rysowniku naszym.

Rzecz dzieje się w obszernym dziedzińcu zamkowym, po uczcie w wielkiej sali, kiedy zebrani goście:

...skończyli jeść lody,

I z zamku na dziedziniec wyszli dla ochłody.

W głębi widać stary, napół zrujnowany zamek Horeszków, z gankiem opartym na kolumnach. Przed zamkiem wysadzone rzędem stóletnie lipy. Po lewej ręce w oddali, zachodzące słońce oblewa pełnym blaskiem skromny dwór sędziego Soplicy.

W pośrodku na pierwszym planie, widzimy siedzącego Jankla, z białą brodą, w długim hałacie, na kolanach trzyma cymbalki. Po obu stronach starca:

Dwaj uczniowie przy cymbalkach kłęczą,  
Jankiel z przymrużonemi napół oczyma,  
Milezy i nieruchomie drążki w palcach trzyma.

Liczne grono znanych z poematu osób, otoczyło cymbalistę. Lud, który ucztował przed chwilą w dziedzińcu, usunął się w głąb, pacholęta wiejskie wdrapały się na drzewa, służba zapełniła ganek zamkowy.

W głębi sceny, po za Janklem, stoi poważny podkomorzy, w kontuszu i litym pasie, oburącz wsparty na karabeli, w białej czapce ozdobionej pękiem piórek czaplich. Przy podkomorzym Telimena, ubrana według mody księstwa warszawskiego, z rozpostartym wachlarzem, który przysłania zbyteczny wykrój sukni.

Po lewej ręce stoją szeregiem generałowie. Dąbrowski w stósonym kapeluszu, z założonemi rękami, głęko zamysłony; dalej: Pac, Małachowski i „Kniaziewicz wzrostem najsluszniejszy”. Nieco opodal Hrabia w czapce ułańskiej, wsparty romantycznie o lipę, z sarkastycznym uśmiechem na ustach, bliżej woźny Gerwazy, z głową do góry podniesioną i Protazy z pękiem kluczy u pasa, smutny i z czołem pochylonem i przysłoniętą ręką oczyma.

Po prawej stronie podkomorzego, ciągnie się grono znanych osób, każdą z nich odgadnąć łatwo ze stroju i postawy. Naprzód podkomorzanka a obok niej matka, poważna matrona, w wysokim kornecie i szerokiej kryzie na szyi. Przy niej sędzia w kontuszu, a dalej dziwnie dorodna para: młody, dziarski ułan i śliczna dziewczeczka, w spódnicze i wiejskim gorseciku, w wianku rozmarynowym. I któżby nie poznał w nich, Tadeusza i Zosi?

Obok tej promieniejącej pary, uderzają w oczy dwie postacie. Te nie tak łatwe do poznania, inaczej bowiem przedstawiały się w ciągu powieści, gdy toczyły długi spór o Kusego i Sokoła. To Asesor i Rejent. Pierwszy:

Już włożył siny mundur z krasnemi wyłogi,  
I ciągnie krzywą szablę i dzwoni w ostrogi.

W drugim dziwniejsza jeszcze przemiana. Sprawiły ją czary Telimeny. Na jej żądanie:

Już się Rejent rad nie rad po francuzku przebrał,  
Widno że mu frak duszy połowę odebrał;  
Stąpa jakby kij poślą, prosto, nieruchawo,  
Jak żóraw, nie śmie spojrzeć ni w lewo, ni w prawo.

Z żalem naszym, nie widzimy tu typowej postaci Maćka nad Maćkami, ale wiadomo, że ten, nie zupełnie rad z owych „fyzylarów, saperów, grenadyarów i kanonierów”, a co więcej zgorszony francuzkim strojem Regenta, wyrzuciwszy mu w oczy zwykły komplement „głupi!”

„Wymknął się i wsiadł na koń, wrócił do zaścianka”.

Widzimy za to sympatyczną postać Wojskiego Hreczechy. Artysta odtworzył ją z wyrazistych rysów pana Władysława Chodźkiewicza.

Rysy Dąbrowskiego, Kniaziewicz, Małachowskiego, wiernie oddane według współczesnych portretów. Do innych postaci, utworzonych fantazją poety, artysta wynalazł żywe odpowiednie modele. Jedną z podkomorzanek, wiernym jest obrazem hrabiny Tyszkiewiczowej, zmarłej przed laty kilku.

W zebranym tłumie spotykamy jeszcze wiele typowych osobistości. Do najwydatniejszych należy Kokosińska, z domu Indykiewiczówna, w wielkim czepcu, typ zawołanej gospodyni wiejskiej.

Odnacza się również hrabia tatarski, z krzywą szablą, w czapce baraniej i czamarze wschodniego kroju. W pobliżu Jankela stoją kobeźnicy z kobzami i skrzypek z zakasany rękawem, czekają rychło umilkną cymbałki i przyjdzie kolej na nich.

Nie wiemy sami co tu bardziej podziwiać, czy umiejętnie ugrupowanie tylu figur, czy też nadzwyczajną w nich różnorodność i charakter ich po mistrzowsku oddany. Nie licząc już tłumu złożonego z zaściankowej szlachty, z włościan, żołnierzy, trębaczy wojskowych i t. d., samych wydatniejszych postaci naliczyliśmy z górą sześćdziesiąt.

Dzień to wesół, dzień powitania, dzień potrójnych zaręczyn i czemuż na obliczach taka powaga, czemu cię smutku zawisł nad każdym czołem? Dlaczego klucznik Protazy tak żałośnie pochylił głowę? Łatwo odgadnąć powód. Twórca obrazu wybrał chwilę kiedy muzyk:

Puścił fałszywy akord, jak syk węża,  
Jak zgrzyt żelaza po szkle, przejął wszystkich dreszczem,  
I wesołość pomieszał przecuciem złowieszczem.

Zasmuceni, strwożeni, słuchacze zwątpili,  
Czy instrument niestrojny, czy się muzyk myli?  
Nie zmylił się mistrz taki! on umyślnie trąca  
Wciąż tę zdradziecką strunę, co melodią zmaća,  
Coraz głośniejsz targając akord rozdąsany,  
Przeciwko zgodzie tonów skonfederowany,  
Aż klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica,  
I krzyknął: znam, znam głos ten...  
I wnet pękła ze świstem struna złowróżąca.

Obraz ten śmiało nazwijmy arcydziełem. Nazwali go tak sami krytycy francuzcy, nie skorzy do pochylecia głowy przed obcym mistrzem, a co więcej nieświadomi przedmiotu. Wyborny przekład pana Gasztowtta, lubo ogłoszony w ustępach, nie dość jeszcze znany publiczności francuzkiej, a gdyby nawet był znany, czyżby go ocenić umieli? Słowa Szyllera nasuwają się tu mimowoli:

Wer den Dichter will verstehen,  
Must in Dichter Lande gehen.

Ten krótki rzut oka, zakończmy życzeniem: jakżebyśmy pragnęli, obok tego obrazu zobaczyć drugi jeszcze, z tychże samych złożony osób, już nie zasłuchanych w brzęk potarganej struny, ale przy wesolej gęźbie skrzypków, kobeźników i cymbalisty, kończących radośnie dzień godowy, jak go zakończył poeta:

I szły pary po parach, łucznie i wesóło,  
Rozkręcało się, znowu skręcało się koło,  
Jak wąż olbrzymi w tysiąc łamiący się zwojów;  
Mieni się centkowata, różna barwa strojów,  
Damskich, pańskich, żołnierskich, jak łuska błyszcząca,

Wyzłocona promieniami zachodniego słońca,  
I odbita o ciemne murawy wezglowia:  
Wre taniec, brzmi muzyka, oklaski i zdrowia!

Nimto nastąpi, inne jeszcze wyrażmy tu pragnienie. Hrabia Tyszkiewicz zgodził się chętnie na reprodukcją pięknego obrazu. Jakżeby życzyć należało, aby które z Towarzystw Zachęty Sztuk Pięknych, warszawskie czy krakowskie, chciało nabyć od artysty to prawo reprodukcji na doroczne premium dla swych członków!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## DUMKA.

Ej, na stepie, na szerokim,  
Trawa się kolebie...  
Czemu łzawem wodzę okiem,  
Naokoło siebie?

\* \* \*

Czemu serce moje biedne,  
Coraz żywiej tętni?  
W głowie dumy zawsze jedne,  
W duszy coraz smętniej?

\* \* \*

I chciałabym gdzieś... daleko...  
Het! ulecieć ptakiem,

I szybować ponad rzeką...  
Ukrainnym szlakiem...

\* \* \*

W sercu żalność i tęsknica,  
Łezki z oczu płyną...  
Czemu biada młodyca,  
Wieczorną godziną?

Litawor.

## UMARŁA.

PRZEZ

Oktawiusza Feuillet.

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiej.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Dalszy ciąg.)

17 Października.

W jednym tylko ogrodzie pałacowym, moge mieć nadzieję spotkania panny Aliety. Tam nie obawiają się puszczać jej samej, bo ogród ten jest istnem więzieniem. Chcąc się do niego dostać, trzeba przebyć dziedziniec i przejść około okien mieszkania. Ogród jest rozległy, z lewej i prawej strony opasany wysokim murem. W głębi znajduje się rodzaj staroświeckiego labiryntu z grabiny, którego powikłane ścieżki prowadzą do tarasu także grabiną obsadzonego. W środku tarasu wznosi się wielka altana w kształcie kopuły, jakie dotąd nazywają na prowincyi „salonami zieleni”. Wszystko oddziela od lasu wielki rów pełen wody, blisko trzy metry szeroki. Tędy tylko możnaby obiecywać sobie niespostrzeżonym dostać się do ogrodu, tędy też wejść tam postanowiłem.

Wczoraj rano zostawiłem psa w domu a dubeltówkę w lesie i przy pomocy drzew nadbrzeżnych przeskoczyłem rów, bo jestem zwinny i śmiały. Wiedziałem, że panna de Courtcheuse lubi przechodzić się po tarasie i siadywać w altanie, gdzie zajmuje się robótkami, czyta, lub zatapia się w marzeniu, gdyż jest to osobka dość romantyczna. Ja romantycznym nie jestem, jednak z przyjemnością patrzyłbym na jej śliczną główkę, kryjącą się w cieniu zieleni. Ale zawiodła mnie nadzieja, altana była pusta.

Nie poprzestałem na tem, przecież nie chciałem narażać się nadaremnie na pęknięcie kości pacierzowej. Z przezornością Mohikana, przesuwalem się z krzaku do krzaku, w pośród krętych uliczek i tak dostałem się do odkrytej części ogrodu.

Od pierwszego rzutu oka, z pośród ukrywających mnie zarośli, zobaczyłem pannę de Courtcheuse, w jej eleganckim porannym stroju; gdyby nie jasno-blond główka, trudno byłoby mi rozpoznać ją w tak dziwacznej postawie, w jakiej ją spostrzegłem. Klęczała przy zagonie w rogu alei, z głową pochyloną prawie do ziemi. Pierwszą myślą

moją było, że zasłabła nagle wśród przechadzki, upadając pod ciężarem prześladowanej miłości; nawet z pewnych poruszeń głowy, zdało mi się, że zanoszą się od płaczu. Lecz dłuższe wpatrywanie przekonało mnie, że panna Alieta spożywa po prostu pierwsze swoje śniadanie. Ukłękawszy przed krzakiem pożyczek, obrywała ostatnie, na wpół zwarzone jesienią gronka, przegryzając kawałkiem chleba.

Być może, iż tworzyło to piękny, rodzajowy obrazek, ale stanowił on tak gwałtowną sprzeczność z tem co sam czułem i co, jak mniemałem, ona odczuwa także, iż w pierwszej chwili zraziła mnie niewymownie.

Jakto, właśnie gdy wyobrażałem ją sobie miotaną namiętnością, spędzającą bezsenne noce, ona sobie spokojnie zajada porzeczkil. Czyżby nie miała serca?

Bądź co bądź, tak wielka i rażąca różnica tego co widziałem z tem co spodziewałem się spotkać, była powodem, że zaniechałem korzystać z upragnionej, nastroczającej się sposobności... Ze ściśnionem sercem zawróciłem ku rowowi i przebyłem go znowu, nie tak jednak rażno jak pierwszym razem: jakiś szerszy mi się wydawał.

Nie ponowię już tego szalonego kroku. Raz, że nie lubię być śmiesznym, choćby w obec samego siebie, a powtóre, że nie umiem jakoś chodzić krętymi ścieżkami. Widocznie stworzony jestem do chodzenia prostą drogą i posługiwania się w walce uczciwą bronią i winszując sobie tego.

Stanowisko moje jest narażone, ale nie stracone jeszcze; mam mój plan, spróbuję otwarcie usunąć przeszkodę.

18 Października.

Miałem zamiar pojechać dziś rano do Saint-Méén, o piętnaście mil stąd. Jest to stolica biskupia, miejsce zamieszkania J. E. biskupa de Courtcheuse, brata admirała a stryja Aliety. Mówiono mi, że jest to rozległy umysł, dobry kapłan, choć bardzo zagorzały. Zapewniają i rzecz to naturalna, że wywiera poważny wpływ na całą swoją poważną rodzinę. Niepodobna nawet przypuszczać, aby nie zawiadomiono go o mojem staraniu się o rękę jego synowicy i o wszystkiem co tylko może się odnosić do naszych stosunków. Według mego stryja, kocha on Alietę jak własną córkę. Pozyskanie go dla mojej sprawy, prawdopodobnie zapewniłoby mi wygraną.

Nie łatwe to przedsięwzięcie, ale wszak kto nie lęka się nadstawić karku, nieraz zdoła dokonać niepodobnych rzeczy.

Gdy już miałem wsiadać do powozu, aby dojechać do stacyi, stryj przybiegł i z przerażoną miną, nie opuszczając go od czasu naszych niepowodzeń, powiedział mi, że J. E. biskup de Courtcheuse przyjechał do Varaville. Dodał, że musiał być zawezwany dla ważnych powodów, gdyż nigdy nie przyjeżdża w tej porze roku.

Po chwili namysłu, powiedziałem stryjowi, że ten przyjazd biskupa uważam za okoliczność przyjazną, którą ojcowie nasi nazwaliby opatrnościową, najpierw dlatego, że uwalnia mnie od podróży, a powtóre, iż jest to widocznie korzystna dla nas oznaka.

Stryj zawołał niespokojnie:

— Zdaje mi się, iż rzecz ma się przeciwnie i że biskup zada ostatni cios naszym nadziejom!

— Odegnaj te ponure myśli, kochany stryju — odpowiedziałem. — Gdyby w obchodzącej nas sprawie, doskonała zgoda panowała w rodzinie,

nie trudzonoby biskupa. Skoro w skutku różnicy zdań zapotrzebowano rozjemcy, dowodzi to, że partya nie jest dla mnie stanowczo przegrana, jak można się było tego obawiać... Czy mam wyznaczyć ci co mi przychodzi na myśl?... Otóż pewny jestem, że to Alieta zawezwała biskupa.

— I jakież wyprowadzasz z tego wnioski?

— Ten, że panna de Courtcheuse nie jest ani tak zrezygnowana, ani tak obojętna jak mi się zdawało dziś rano, gdy ją widziałem zajadającą porzeczkę.

I opowiedziałem stryjowi wczorajszą moją przygodę.

Wszedłszy do swego pokoju napisałem list następujący:

„Ekscellencyo!

„Dowiaduję się o przybyciu Waszej Ekscellencyi, właśnie w chwili, gdy miałem jechać do Saint-Méén, prosić o łaskawe posłuchanie. Czy mogę mieć nadzieję, że W. Ekscellencya raczy udzielić mi je w Varaville? Zamierzając, na zawsze zapewnić, opuścić tę okolicę, wieczny żal pozostałby mi w sercu, gdybym przed oddaleniem się nie objawił W. Ekscellencyi uczuć jakimi jestem przejęty.

„Racz W. Ekscellencya przyjąć zapewnienie najgłębszego uszanowania, z jakim mam zaszczyt zostawać.

Bernard de Vandricourt.”

W godzinę potem odebrałem bilet wizytowy:

BISKUP Z SAINT-MÉÉN.

Przyjmie hrabiego de Vandricourt o godzinie czwartej.

O wpół do czwartej wchodziłem do Varaville głównymi drzwiami. Powiedziano mi, że zawiadomienie biskupa, który jest w ogrodzie z panną Alietą.

Czekałem dość długo; nareszcie spostrzegłem wysuwającą się z labiryntu fioletową sutannę i okrągły kapelusz prałata. Alieta szła obok niego. Nie widzieli mnie z początku, gdyż rozmawiali zwykłym głosem i mogłem dosłyszeć niektóre słowa.

— Moja droga, jest to rzecz nader drażliwa... nader przerażająca — mówił biskup żywo i porywczo.

— Ah! kochany stryju, nie mów tego... nie cofaj...

— Nic nie cofam, ale biedne moje dziecię, jesteś za nadto egzaltowana i romantyczna.]

— Pokładam ufność...

— Zapewnie — przerwał — ale w razie zawodu byłabyś tak nieszczęśliwa... a i ja...

Nagle przerwanie rozmowy, dało mi poznać, że mnie spostrzegli. Podszedłem ku nim kilka kroków, składając głęboki ukłon. Poznałem, że Alieta płakała, ale zdziwiło mnie mocno, że dostrzegłem także łzy w oczach i na twarzy biskupa. Niewątpliwie modlili się i płakali razem. Widząc ich wzruszenie i przypominając sobie wyrazy, które mimowolnie dosłyszałem, nie mogłem nie uczynić sobie kilku przykrych uwag, dotyczących mojej skrupulatności, które odbijają się w mojej rozmowie z biskupem.

Idąc, zamieniliśmy kilka konwencyonalnych grzeczności. Gdyśmy dochodzili do pałacu, panna Alieta oddaliła się, żegnając nas lekkim ski-

nieniem głowy, a biskup wprowadził mnie do swego apartamentu, na dole w pałacu.

J. E. biskup de Courtcheuse, zdaje się nie mieć więcej nad lat pięćdziesiąt; jest wysoki i bardzo szczupły; oczy czarne, pełne życia, mocno podsiłniałe. Mowa i ruchy jego są żywe, niekiedy porywcze. Często przybiera groźną minę, zamieniając się niebawem w łagodny uśmiech. Ma piękne siwiejące włosy i piękne, prawdziwie biskupie ręce. Postawę ma imponującą, odpowiednią kapłańskiej jego godności; wyraz twarzy zdradza namiętną ale szczerą i uczciwą gorliwość religijną.

Jak tylko zajęliśmy miejsca, skinął ręką, abym zaczął mówić.

— Pojmuje W. Ekscellencya, że ostatnią pokładam w nim nadzieję... krok ten mój jest jakby aktem rozpaczki... Nie zastanawiając się głębiej, należałoby sądzić, że nikt z rodziny panny de Courtcheuse, nie mógłby osądzić surowiej i bezlitośniej zarzucanej mi winy. Jestem niewiernym a W. Ekscellencya apostołem... Ale wiadomo mi, że często właśnie u tak świątobliwych kapłanów, winowajcy największe znajdują pobłażanie... a ja nie jestem nawet winowajcą ale tylko zbłąkanym... Odmawiają mi ręki panny de Courtcheuse, ponieważ nie mam gorącej wiary jej i W. Ekscellencyi... Ale wszakże niewiara nie jest zbrodnią ale nieszczęściem... O! słyszę często mówiących: Taki tylko człowiek zaprzecza istności Boga, który postępowaniem swoim postawił się w tem położeniu, iż musi pragnąć, aby Boga nie było... I tym sposobem czynią go winnym i odpowiedzialnym za jego brak wiary... Co do mnie, badałem najszczerzej sumienie moje, lecz choć młodość moja była nie-dobrą, przecież przekonany jestem, że ateizm mój nie wypływa bynajmniej z jakiegoś osobistego interesu. Przeciwnie, mogę zapewnić Waszą Ekscellencyę, że nigdy w życiu mojem nie płakałem tak gorzko, jak w dniu w którym uczułem, że tracę wiarę, ufność i nadzieję w Bogu... Pomimo pozorów, nie jestem tak lekkomyślnym jak się to zdawać może... Nie należę do tych, którzy wydaliwszy Boga z serc swoich, nie uczuwają w nich próżni. Niech mi Wasza Ekscellencya wierzy, że można być światowcem, zwolennikiem sportu, klubu i światowych nawyknień, a obok tego mieć swoje godziny rozmyślenia i skupienia ducha. I czyżby W. Ekscellencya mógł myśleć, że w podobnych godzinach nie czuje się strasznej czczości życia bez podstawy moralnej, bez zasad, bez celu po za grobem?... A jednak jakaż na to rada?... Gdyby Wasza Ekscellencya ze współczuciem i litością jaką czytam w jego oczach, powiedział mi w tej chwili: „powiedz mi jakie możesz mieć zarzuty przeciw religii, a spróbuję je obalić!” Nie wiedziałbym co odpowiedzieć... Zarzuty moje nazywają się legionem... są one tak liczne jak gwiazdy na niebie... wnikają w nas ze wszech stron, przybyszą z czterech krańców horyzontu, jakby na skrzydłach wichru, a po ich przejściu pozostają w nas tylko ciemność i zgłiszczanie... Oto czego doznałem ja i tytu innych, a jest to zarówno mimowolnem jak nie-powetowanem!...

— A więc sądzisz pan — zawołał biskup, orzucając mnie gniewnem spojrzeniem, więc sądzisz pan, że ja, naprzykład, odgrywam komedię w mojej katedrze?

— Ależ, Ekscellencyo!...

— Ze słów pana wnosiłoby należało, że żyjemy w takim czasie, iż każdy bezwarunkowo musi być ateuszem lub udanym świętoszkiem! Otóż, ja przynajmniej, mam przekonanie, że nie jestem ani jednym, ani drugim.

— Czyż pod tym względem potrzebuję się bronić?... czyż potrzebuję zapewniać, że nie przyszedłem w celu ubliżania Waszej Ekscellencyi?

— No! tak... zapewne... A więc przypuszczam, choć z wielkimi zastrzeżeniami i nie zapominaj pan o tem, gdyż zawsze jesteśmy mniej więcej odpowiedzialni za otoczenie w jakim żyjemy, za prądy jakim unosić się dozwalamy, za zwykły kierunek jaki nadajemy swoim myślom... ale przypuszczam zresztą iż jesteś pan ofiarą niewiary wieku i zupełnie nie odpowiadasz za swój sceptycyzm... za swój ateizm; w każdym razie jest rzeczą niezaprzeczoną, że związek kobiety tak pobożnej i tak gorąco wierzącej jak moja synowica, z takim jak pan człowiekiem, byłby mezaliansem moralnym, mogącym wywołać najzgubniejsze następstwa... Czy sądzisz pan, że obowiązek mój, jako krewnego panny de Courtcheuse, jako biskupa i ojca jej duchowego, dozwala mi ułatwić zawarcie podobnego małżeństwa, przewodniczyć przerażającemu związkowi dwóch dusz rozdzielonych całym obszarem nieba?... Powiedz pan sam, czy uważasz to za odpowiednie dla mnie zadanie?...

Zadając mi to pytanie, biskup bystro wpatrywał się we mnie.

— Ekscellencyo — odrzekłem, po chwilowem zakłopotaniu — znasz równie, a pewnie lepiej ode mnie, obecny stan świata i kraju naszego... Wiesz zatem, że nie jestem wyjątkiem, niestety!... Ludzi wierzących jest nader mało i pozwól mi ksiądz biskup objawić szczerze myśl moją, czy jeżeli dotknie mnie cios niepokieszony, jeżeli zmuszony będę wyrzec się spodziewanego szczęścia, czy ten którego synowica Waszej Ekscellencyi zaślubi prędzej lub później, nie będzie gorszym jeszcze niż sceptyk albo nawet ateusz?

— A któż mógłby już być gorszym?

— Obludnik, Ekscellencyo. Panna de Courtcheuse jest tak ładna i bogata, iż ktoś mniej skrupulatny jak ja, może zapragnąć pozyskać jej rękę... Co do mnie, wie Wasza Ekscellencya, że jestem sceptykiem, ale z drugiej strony wiadomo mu także, iż jestem uczciwym człowiekiem... a to przecież coś znaczy.

— Uczciwym!... uczciwym... — szepnęła biskup z pewną niechęcią i wahaniem — mój Boże! chcę temu wierzyć...

— O! nie; ksiądz biskup jest o tem przekonany — odparłem żywo — i pozwoli mi przypomnieć sobie: iż gdyby nie prawość mego charakteru, byłbym dziś narzeczonym panny Aliety.

Poruszył się w fotelu, odpowiadając z godnością i prostotą: — Prawda!

Przez chwilę bystro patrzył mi w oczy.

— A więc, na tę uczciwość, którą się tak chlubisz, powiedz pan czy możesz przyrzec mi uroczście: że nigdy gorąca wiara mojej synowicy nie zachwieje się z twojej winy, że twoje nawyknięcia, wyrażenie się, złośliwe drwinki a nawet mimowolne szyderstwa, nie zakłócą spokoju tej czystej, młodej duszy... nie zasieją w niej smutku a może kiedyś i zwątpienia?... Czy przypuszczasz, że i ona sama i ja chciałbym narazić ją na podobne niebezpieczeństwa?

— Odpowiem na to Waszej Ekscellencyi, iż uważałbym się za nikczemnika, gdybym nie uszanował wiary i religijności mojej żony. Nigdy jeszcze usta moje nie wypowiedziały jakiegoś szyderstwa z rzeczy religijnych. Jestem niewierzącym, ale nie bezbożnikiem. Nigdy nie znieważałem i nie znieważę tego co uwielbiałem... Pojmuję doskonale, że można utracić wiarę, ale tego nigdy pojąć nie zdołam, aby ten kto w dzieciennych la-

tach klękał przed krzyżem obok matki swojej, mógł nie uszanować w nim swojej matki i swoich lat dzieciennych!...

Wypowiedziałem to z pewnem uniesieniem. Oczy biskupa zrosiły się łzami i przynaję, że wzruszenie jego i mnie się udzieliło.

— No! — odrzekł łagodnie — nie jesteś pan tak zatwardziałym niedowiarkiem jak mniemasz, a moja ukochana Alieta jest jedną z tych kobiet gorącej wiary, za których pośrednictwem Bóg cuda czyni niekiedy...

— Jakkolwiek wiele mnie to kosztuje, że właśnie w chwili, gdy serce Waszej Ekscellencyi zdaje przechylać się ku mnie, muszę wyznać mu całą prawdę, nie cofnę się jednak przedtem, bo powtarzam, nie chcę szczęścia mego zawdzięczać kłamstwu. Wyznaję więc, że przed chwilą dosłyszałem mimowolnie kilka słów rozmowy Waszej Ekscellencyi z panną Alietą; zrozumiałem, a teraz pojmuję to lepiej jeszcze, że nadzieja nawrócenia mego stanowić może główną pobudkę zezwolenia na nasz związek, tak ksiądz biskupa jak i jego synowicy... Otóż zapewniłem Waszą Ekscellencyę czego nie potrzebujecie się obawiać, ale zarazem nie będę tał, czego nie możecie obiecywać sobie. Czuję, że wiara w rzeczy nadprzyrodzone zamarła we mnie na zawsze, że nawet ślady jej się zatarły... nakoniec, że żadna ze skał Morza Czerwonego, nie jest mniej zdolną do pokrycia się roślinnością, jak dusza moja do przyjęcia choćby najsłabszego zarodku wiary.

— Skoro pan tak myślisz, postępujesz uczciwie nie ukrywając tego... Ale któż zna drogi Boże!

Powstał z fotelu.

— Synu mój — rzekł poważnie — chcę zakończyć tę rozmowę słowami jednego ze świętych papięzy naszych. — Błogosławieństwo starca nigdy nie może zaszkodzić... Czy chcesz odebrać moje?

Pochyliłem kornie głowę.

Nakreślił nad nią znak mistyczny, odszedłem pożegnawszy go głębokim ukłonem.

Przywołał mnie gdy już miałem wychodzić.

— Panie de Vandricourt — rzekł — nie odjeżdżaj; chciej zaczekać w ogrodzie.

. . . . .

Tu kończę dziennik do którego nakłoniła mnie tak ważna zmiana, zaszła w mojem życiu. Panna de Courtcheuse, za zezwoleniem rodziny, raczy oddać mi swoją rękę. Przyjmuję ją z najgłębszą wdzięcznością i uczynię co tylko będzie w mej mocy, aby żona moja była tak szczęśliwą, jak jest piękną, kochaną, godną czci i poszanowania.

KONIEC CZĘŚCI I-ej.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

Bartek chciał coś odrzec, drapiąc się po kudłach łbie, gdy nagle wystąpił naprzód Boruta i zarzucając z fantazją jedną połowę delii na ramiona,

pokręcił wężem i uśmiechając się jakoś po dyabelsku a strzelając dokoła płomienistym wzrokiem, rzekł:

— Jakże to możesz gadać Żwanie! Tyle razy mówiłem ci ja sam o imcipanu Litaworze, młodzieńcu znanym i pełnym rycerskiego animuszu, jeno trzymanym dotąd przy fartusku. Ale kiedy ojczyzna jest w niebezpieczeństwie, tedy pan Litawor, który jest szlachcic starodawny — tu groźnie mówca spojrzął na pana Żabę — rzucił wszystko i chwyciwszy za szablę biegnie bić wroga.

Tu Boruta zakręcił wężem i spojrzął dokoła, śmiejąc się jakoś dumnie.

— Czysty dyabel! W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! — szeptał pan Samuel.

— Ale tu nie ma czasu na te tam deliberacye! — rzekł nagle Boruta. — Nam trzeba na koń i do lasów Wilkowickich. Jeno nim rozpoczniemy tak wielką imprezę, należy nam obrać wodza. Obierzmyż sobie tedy, mości panowie, hetmana!

To rzekłszy, skłonił się wszystkim jakoś po dyabelsku, łysnął ślepiami, poszedł do stołu, wypił wina i zbliżył się do Bartka i Litawora, którzy po prezentacji siedli sobie w kącie i coś tajemniczego szeptali. Boruta nachylił się do nich i także coś szeptał i śmiał się i szczyrzył zęby, zwłaszcza do owego Litawora.

Tymczasem tam między szlachtą okrzyknięto Żwana hetmanem — a ten nakazał natychmiast siadać na koń. Jakoż w jednej chwili izba się wypróżniła, został jeno Bartek i on Litawor.

Bartek obejrzał się dokoła i drżącym głosem, chwytając wpół swego druha serdecznego, szeptał:

— Jagusiu, jeszcze całusa!

— Ale mój Bartku!... — zadzwęczał srebrzysty głos — niemożna, jeszcze kto obaczy.

— Kto tam obaczy!

— I nie pytając już, całował namiętnie onego szlachcica mazurskiego, co się tak dzielnie nazywał. Bawić się jednak w ten sposób nie można było długo, bo na dziedzińcu wrzawa i ruch dowodziły, że na gwałt zabierano się do wymarszu. Jakoż w ćwierć pacierza, sporządzono całe wojsko i wyruszone długim, wężowym skrzętem na tę wyprawę, co miała się stać początkiem klęski Karola Gustawa.

Noc była mroźna. Śnieg twardy skrzył się od gwiazd jak nasiany iskrami. Niebo było czyste, bezchmurne, nabite gwiazdami jak złotemi ćwiekami. Cisza była wielka w przyrodzie, jeno od puszczy szedł jakiś głuchy szum i szmer. W milczeniu posuwano się naprzód, a tylko śnieg zmarzły skrzypiał pod nogami ludzi i koni, czasem zabrzęczała szabla lub kosa, czasem koń parsknął. Na czele, w towarzystwie pana Samuela i dwóch szlachty, jechał Żwan, za nim Piotr stary, a za tym postępowały szare szeregi chłopstwa. W klinkach kos wyostrzonych przeglądały się gwiazdy a szmer cichych rozmów rozlegał się dokoła. Chłopi, źle ubrani, niektórzy tylko w kożuchach, reszta w świtkach i sukmanach, wielu bez butów, jeno w łapciach lipowych, dzwonili zębami od zimna. Niekiedy zatrzymywali się i zdjawszy jednopalczaste rękawice, bili rękami, dla ich rozgrzania, o plecy. Na samym tyle, pod wodzą imcipana Boruty, postępowała cała jazda wojska Żwanowego, więc hajducy, trochę szaraczków, trochę dworskich i parobków wiejskich. Obok Boruty jechał Bartek i Jagusia, inaczej szlachcic mazurski Litawor. Tutaj rozmawiano wesoło i śmiano się nieraz głośno. Boruta opowiadał ciekawemu Bartkowi, ja-

ko napadł na dwór w Wąsoszu, jak pomimo krzyków imcipani Koszarskiej kazał hajdukom siadać na koń; jak wreszcie zdybawszy Jagusię, namówił ją by z nim uciekała, jak kazał jednemu ze swych ludzi dać jej ubranie, które mieli w tłumokach i jak nakoniec szczęśliwie z Wąsosza wyjechali.

— Powiadam ci, Bartku, czas już był wielki, bo twoja matusia, Szwed baba, nakazała we dzwony na sygnaturce w kościele bić i już chłopcy się zbiegali z kłonicami do dworu. Ale myśmy w konie i całośmy wyszli. Oto masz wszystko co chcesz wiedzieć.

— No! — rzekł Bartek — twoje szczęście, dyable Łęczycycki i ja ci przysięgam, że gdybyś ty nie był dyablem, tobyś nic w Wąsoszu nie zrobił, jeśszceby cię matusia schwycili i bizun byłby w robocie... Przysięgam Bogu, żeby tak było...

— Ha! ha! ha! — śmiał się cicho Boruta — już to twoja matusia, mój Bartku, lubi sypać bizuny i różgi. Oto po twojej ucieczce, kiedy przyjechała do domu i nie zastała ciebie, a dworsey zauszniacy wyśpiewali jej wszystko jako było, i jako panna Jagnieszka cię wyprawiała, to matusia znów zaprosiła tu obecnego rycerza Litawora do sypialni i słyszę różgi aż świstały...

— Jakto? — zawołał żałośnie Bartek — oćwicyła cię, Jagusiu, matusia!

— Tak! — szepnęła rycerz Litawor.

— I dużo ci dała?

— Trzydzieści!

— A Jezu święty, Jezusieńku! — załamał ręce Bartek i nuż biadać a wyrzekać, aż się Boruta zachodził od śmiechu.

Kiedy tu tak gadają, na czole między Żwanem a panem Samuelem, inna toczyła się rozmowa, całe poważniejsza i pełna smutku.

— Źle się stało — mówił Żwan — żeśmy się dali zdurzyć temu Łęczycyckiemu dyabłu, Borucie...

— A to jak? — pytał pan Samuel — a najprzód, nim poczniemy o czem gadać, powiedz ty mnie, mój Ignac, co to jest ten Boruta, bo mnie się widzi, że to jest sam dyabeł w swej własnej personie. Jeżeli zaś tak jest, to już w żaden żywy sposób nie godzi nam się z nim wojować, bo choć on nam jako dyabeł dużo dopomódz może, wszelako zawždy to będą sztuczki szatańskie i na zatracenie nasze dusze powiodą. Powiada on się być twoim przyjacielem, jestże to tak?

— Przyjacielem, jak przyjacielem — odrzekł Żwan — ale człek to dobry i do tańca i do różańca.

— Więc nie żaden dyabeł?

— Ale zkadże znowu! Szlacheć jak się patrzy i dostatni nawet. W Łukowskim siedzi dużo Borutów, jeno ojciec jego był pono szalony i dlatego mu dał takie dziwne i nie polskie, a może i pogańskie nawet imię na chrzcie świętym, jakieś tam Rodrigus...

— Ano... to nie jest pogańskie imię. Rodrigus był świętym i czytaj Żywoty księdza Skargi a dowiesz się, co on dobrego i Boskiego ten Rodrigus czynił. Ale to do rzeczy nie należy. Gadajże mi o tym Borucie, bo on mi całe na dyabła patrzy. Nie jest więc dyablem?

— Ale nie, jako żywo. Katolik jest dobry...

— No, a mnie ten Bartek Koszarski gadał, że to dyabeł.

— Iiii... Bartek jest głupi. Co zaś do owego Boruty, to ożenił się z Łęczycanką, panną Gostnicką, bogatą jedynaczką, ale wielkim herodem. Tedy Boruta sprzykrzył sobie codzienne swary,

uciekł od Łęczycan, którzy go dyablem zwali i kupił sobie tu w Wieluńskim wieś, ale słyszę Szwedzi mu ją spalili...

— A tak, sam o tem gadał.

Przez chwilę trwało milczenie. Konie na mrozie parskaly i zagłębiono się już w wielkie i uszcze, otaczające Smolarze i ciemno tu było jak w grobie. Po puszczy szedł szum ponury i puhać gdzieś krzyczał żałośnie.

— Otóż, ja powiadam, że źleśmy uczynili, dając się zdurzyć temu Borucie.

— A jakże on nas zdurzył?

— Ano... kiedy Horn wyszedł z połową swej załogi, to właśnie najlepiej było uderzyć na Krzepice i wziąć je, a nie szukać onego Szweda po puszcach, ile, że ja wątpię, czy go najdziemy...

— A czemużbyśmy go nie mieli naleźć? Inną drogą on nie idzie, bo z Krzepic do Kłobucka jedna tylko wiedzie droga na Wilkowice. Należć, to my go najdziemy. I ja widzę w tym Borucie całe piękne przymioty na wodza, kiedy on taką plantę wymyślił, jako ta jest. Napaść na Krzepice łatwo, ale czy łatwo je wziąć, nawet przytem, że tam jeno połowa załogi ostała. Ta połowa jest jeszcze tak silna jak i my, i stary to żołnierz, a nie nasze chłopcy od pług i brony. Widziałem ja, jako się Szwedzi biją i wiem, co to z nimi wojna. A przytem Krzepice, toć przecie nie szlachecki dworek, jeno zamek, forteca murem i wałem ziemnym otoczona i harmaty mają, a nie tak jak my, kłonice i widły... I gdyby Krzepice tak łatwo było wziąć, jako się tobie, mój Ignac zdaje, w serdecznej twojej desperacyi, toby je wziął pan Warszycki, który ma i ludzi więcej jak my i strzelbę i harmaty. On zasie, choć mu córkę Szwed porwał, nie czyni tego bo wie, żeby odszedł od murów krzepickich pobity. Ja tedy gadam i mocno przy tem stoję, że planta onego Boruty jest nader rozumna. My w lesie z kosami silniejsi będziemy jak całe wojsko Horna, i kiedy z zasadki a z zasieków, które poczynić trzeba będzie, wypadniemy, to nie nam się nie oprze. Ja już pilnować będę onego Horna i capnę Szweda za łeb tak, że ci go żywym lub trupem przywiode. Zawždy jednak będę go chciał żywcem wziąć, bo wtedy wymienimy go za kasztelanke...

— Niech ci Bóg zapłaci za twe serce ku mnie, mój Samusiu. Może to i dobra rada onego Boruty, może nawet ona się powiedzie, ale mnie wszelako wszystko coś ciągnie ku Krzepicom... I gdyby nie to, że zmiana planty zawždy źle działa na wojsko, tobym zaraz zawrócił i ruszył pod on zamek... Mnie nie Horna trzeba ale kasztelanke, bo inaczej, to ja jak pies zdechnę z desperacyi, albo łeb sobie gdzie o mur rozbije...

— Otóż to jest rycerz polski! — zawołał ponuro, swym grobowym głosem Lniski. — On porwał się na wroga swej ojczyzny nie dlatego, że ten wróg ogniem i mieczem niszczy wszystko, ale dlatego, że mu wziął do niewoli dziewczkę. Tfu! do kaduka, mój Ignac, nie gadaj mi tego, bo kiedy słucham, to mi tak jest, jakbyś mi serce lub wnętrzości ogniem piekł...

— I czego ty na mnie się sierdzisz, mój Samuś!... — zawołał melancholijnie Żwan. — Toć że ja jestem w desperacyi, jeszcze mnie przesładujesz?...

— Nie przesładuję ja ciebie i nie sierdzę się całe. Ale mnie ból wielki zdejmuję, gdy widzę, jako wy wszyscy nie miłujecie tej Polskiej Korony. Byś rozkroił serce moje, obaczyłbyś tam je-

dno tylko słowo: giniemy! Oto, czego ja się sierdzę... Ale tu jest wszystko dobrze, bo łatniej tobie będzie dostać kasztelanke tam, w lesie Wilkowickim, niż pod Krzepicami...

— Ha! niech i tak będzie.

Tak gwarząc a gadając, posuwano się ciągle naprzód wśród głębokiej ciszy nocnej, wśród mrocznej puszczy sosnowej.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## OSTATNIA WYPRAWA AMERYKAŃSKA DO PÓŁNOCNEGO BIEGUNA.

Wedle danych, zaczerpniętych z dzieła

W. de Fonville,

ulożył

B. Z. B.

(Dalszy ciąg.)

XIII.

Po długiej rozmowie, prowadzonej poufnie z majorem Greely, dla zapobieżenia wszelkim wieściom, mogącym szkodzić wracającym rozbitkom, polecono oficerom odkopanie ciał zmarłych i przeniesienie ich na okręt.

Tyle niezwykle rozporządzenie upozorowano chęcią uczczenia nieboszczyków, jako poległych dla sprawy obchodzącej cały świat ucwilizowany.

Admiralicja amerykańska przewidywała widocznie liczne zejścia, bo nadesłała dostateczną ilość trumien, dla przewiezienia ciał w celu pochowania takowych na ojczyściej ziemi. Inna jeszcze bolesniejsza czynność zasadzała się na operacyi, dotyczącej Ellisona. Położenie tego prawdziwego męczennika było zaiste przerażające; amputacyą dwóch nóg uważali doktorzy za konieczną, rozkład ciała był widoczny, rany aż do kolan poczerniały i gangrena w prędkim czasie mogła ogarnąć cały organizm. Z drugiej jednak strony, operacya taka przy osłabieniu chorego i warunkach klimatu, sama przez się spowodowywała śmierć nieomylną; poco więc krajać człowieka, któremu nie wiele czasu pozostawało do życia? Któż jednak zbada tajemnice życia ludzkiego, chrześcijański obowiązek nakazuje ratować wytrwale cierpiących, choćby nawet bez żadnej nadziei powodzenia.

Postanowiono więc przystąpić do amputacyi tem trudniejszej, że przy ówczesnym stanie Ellisona niepodobna go było usypiać; raz pograżony w śnie letargicznym, już nigdy nie wróciłby do przytomności.

Chory mimo obłąkania zachował niepojętą bystrość umysłu, ale zwróconą zawsze w jednym kierunku. Widział się otoczonym przez ludożerców i błagał ich, aby zamiast krajać go na kawałki, przedewszystkiem odebrali mu życie.

W chwili w której amerykańskie okręty podno-

sily kotwice, nadpłynął okręt angielski *Alerte*, witaający strzałami armatnimi udzieloną mu nowinę, odszukania naukowej kolonii dowodzonej przez majora Greely.

Odpowiedziała na takowe amerykańska artyleria, oddając pierwsze honory uratowanym rodzinom swoim.

Następnie puszczono się szybko w drogę, aby ofiary mrozu przewieźć jak najprędzej do łaskawszego klimatu.

Pewna jednak zwłoka na brzegach Grenlandyi była konieczna z powodu udzielonych instrukcji przez rząd amerykański. Do liczby zmarłych, należał Eskimos Christiansen, którego należało pochować uroczyście na rodzinnej ziemi. W obliczu śmierci wszyscy byli równi, tak ludzie dzicy jak i ucywilizowani i wszystkim jedne posługiwały prawa. Łatwo można wystawić zadziwienie krajowców, skoro na cześć jednego z nich i do tego zmarłego, wystąpiło wojsko w mundurach i dały się słyszeć strzały armatnie.

Zwłoki zmarłego nieśli na ramionach oficerowie marynarki, a świetne ich mundury czyniły na świadkach pogrzebu żywe niezmiernie wrażenie. Pozostała po Christiansenie wdowa, wedle miejscowego zwyczaju, dla udowodnienia swego żalu, wydawała przeraźliwe krzyki, ogłuszające prawie obecnych. Komandor dla uspokojenia bolejącej kobiety, kazał wręczyć przeznaczone dla niej podarunki, mianowicie: rozmaite części ubrania podbite futrem, obfitą żywność w konserwach, a nareszcie znaczną kwotę pieniędzy w złocie. Skutek przeszedł wszelkie oczekiwanie, ale bez wielkiej korzyści dla uczestników pogrzebu, bo żal zastąpiły nie mniej gwałtowne wybuchy radości, przykrzejsze jeszcze w tej chwili od krzyków i jęków rozpaczki.

Nie ubiór jednak ani pokarm zyskał największe uznanie obdarowanej, ale... złoto.

Po oddaniu ostatniej usługi zmarłemu uczestnikowi wyprawy, nie było powodu do zwłoki, a ponieważ nie zaszła żadna przeszkoda opóźniająca podróż; okręta więc szybko płynęły, bo całą załogę od dowódcy do prostego majtka, ożywiła jedna chęć prędkiego powiadomienia mieszkańców Ameryki i całego świata ucywilizowanego, o szczęśliwym zakończeniu przedsięwziętej wyprawy.

Okręta były mocne, parowe maszyny zbudowane dokładnie, morze znacznie oczyszczone z lodów; wszystko więc sprzyjało żegludze i wkrótce powitano brzegi Nowej Ziemi, z kąd podmorskim telegrafem zawiadomiono admiralicyą o zaszłych wypadkach i następnym powrocie. Nie znajdujemy w dziele pana de Fonvielle wytłomaczonej przyczyny, dla której dalsza podróż przerwana została, co jednak koniecznie musiało nastąpić, bo w dalszym ciągu czytamy opis wypadków, które w razie przeciwnym nie mogłyby mieć miejsca. Szczególniej dwie okoliczności zasługują na wzmiankę.

W czasie pogrzebu Christiansensa, żaden z byłych członków naukowej kolonii nie przyjął udziału w ceremonii z powodu wielkiego osłabienia. Po przybyciu do Nowej Ziemi najsilniejszy ze wszystkich, major, potrzebował jeszcze pomocy, aby wstać lub położyć się do łóżka, a przechadzał się nie inaczej jak wsparty na ramieniu któregoś ze służących. Jeżeli chciał użyć ruchu samotnie, to posługiwał mu do tego fotel na kółkach, który popychał za pośrednictwem ostro okutej laski.

W ogóle pod wpływem bolesnych myśli ogarniających umysł, nie lubił towarzystwa.

Pewnego poranku, kiedy spoczywał na sofie więcej zniechęcony do świata i ludzi, nagle wbiegła do jego kajuty z krzykiem radości, kobieta młoda i piękna, na której widok, major zapomniawszy o swem osłabieniu, zerwał się szybko z sofy i pobiegł na jej spotkanie: wkrótce dwoje kochających się małżonków, znalazło się we wzajemnem objęciu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## Wystawa konkursowa rzeźb i obrazów.

(Dokończenie.)

Pan Styka Jan, malarz treści religijnej, choć brak mu studyów, któreby prócz draperyi, pozwoliły pomyśleć o czemś jeszcze, obdarzył wystawę aż dwoma obrazami: jeden przedstawia *Magdalene*, własnego pomysłu; drugi *Nowicyuszkę*. Magdalena pokutująca na puszczy, to przystojna, dość kształtnie zbudowana dziewczica, o świeżej cerze i prześlicznych, starannie, z pewną nawet zalotnością rozpuszczonych włosach, modli się, tak by sądzić można, ale niezbyt szczerze, bo zateatralną obrała pozę. Widocznie, że p. Styka uchwycił ją w chwili, gdy zaczynała dopiero pokutować na puszczy, inaczej, szarańcze i miód leśny ujęłyby jej dużo z realnych przymiotów i ciała. *Nowicyuszka*, to malowane popiersie młodej dziewczyny, biorącej zakonną zasłonę. Twarz takich dziewcząt powinna wyrażać albo rozpacz bezgraniczną (jeżeli wstępuje do zakonu z musu), albo też bezgraniczną ekstazę. Tymczasem cóż widzimy? Woskową, otuloną w welon twarzyczkę bez wyrazu, o dużych, głupkowatych oczkach. *Nowicyuszka* trzyma w prawej ręce świeczkę ubraną kwiatkami i kokardką; patrzących chęć bierze zgasić tę świeczkę a ją samą posłać do szkoły. Podobne dziwolągi dawać na wystawę, zakrawa na chęć zażartowania z publiczności, co też pewno uczynić chciał i p. Malecki Wład. malując obrazek *Z nad Horynia*, z cerkiewką w głębi i kupą koni na łące, które wszystkie mają czarne podbrzusza a kilka po trzy i po pięć nóg nawet. Domysłamy się, że to konie, ale, to domysł tylko, bo wszystko tam niewyraźne, zatarte i nawet pastuch i ludek w dali i ekonom czy coś podobnego na pierwszym planie, wyglądają jak odłamki zapalek niedbale oznaczone.

O wiele już lepszy obrazek jest p. Sznerera *Lisowczyki w przeprawie*, gdzie i ludzie i konie jak cacka wyglądają a malowane tak starannie, tak niewymuszenie i z taką drobiazgową dokładnością, że przypominają Kossaka. *Lisowczyki* to opryski niemal, miecz prawa nad nimi zawieszony. Na pierwszym planie dowódca, pochylony na dzielnym i dzielnie namalowanym koniu, prawą ręką chroni oczy od blasku i spogląda ku rzeculce; przy nim zapewne setnik podkomendny. W głębi na prawo, placówka. Jeździec trochę niewyraźny, ale co za koń! To bachmat turecki, strzyże uszami, zrównał nogi i nieruchomy stoi; znać czuje dobrze ważność stanowiska. W środku obrazu, zepelnie w głębi już, na pół ukryta w trawie reszta bandy.

Obraz pana Sznerera miłe sprawia wrażenie, zawiaduje nam artystę łamiącego się dzielnie z tru-

dnosciami artysty, który ma przyszłość przed sobą.

Zwracamy się na prawo... jeszcze jedno płótno nagrodzone: to *Ostatnie wieści*, Maszyńskiego Juliana. W parku, przy kracie, w poręczowym krzesle, leży ubrana młoda, dość brzydka kobieta, której jednak twarz niesympatyczną okrasza urok niemocy. Biedna... dogorywa widocznie, zapewne ostatni raz widzi słońce i kwiaty, ostatni raz napa-wa się wonią roślin. Przy niej, krewniaczka uboga, czy też pokojówka, w ogromny, jaskrawy fartuszek owinięta, tłumi łkanie; naprzeciw chorej, roznosiciel listów, wyszukuje właściwy z pomiędzy kilkunastu, trzymany w lewej ręce, przynosi *ostatnie wieści*, zapewne z dalekiej ojczyzny. Sympatyczna twarz roznosiciela wyraża coś, jakby żywy udział, widocznie i jemu przykro patrzeć na dogasającą wśród zieleni. Myśl obrazu bardzo piękna, wykonanie staranne, ugrupowanie prawie bez zarzutu. Na licu chorej niewidać nawet niecierpliwości, zastępuje ją zniechęcenie. Całość sprawia przykre wrażenie.

Obok utworu p. M. znajdujemy duży obraz rodzajowy, przedstawiający *Ofelię* w naturalnej wielkości, wśród gęstwiny parku, u brzegu strumyka. Twórca obrazu p. Szyndler Pantaleon, ma coś Markartowskiego i w traktowaniu przedmiotu i w koloraturze. Najwykwintniejszy salon jego „Ofelia” mogła-by ozdobić z pewnością. Przedstawił nam pełną wdzięku, dziwnie ponętną, nawet w chwili, gdy wszystkie złe namiętności w niej się budzą, mistrzowsko zbudowaną córę Albionu, o popielatych włosach, o ustach rozwartych i zapalonych ogniami w źrenicy. Suknia z popielatego atlasu, obcisła, uwydatnia plastycznie pełne, zastosowane do drobnej postaci kobiety zarysy łona, szyi, bioder; widać odrazu, że to lady Ofelia żyje, rusza się niemal, słyhać dźwięk jej głosu, czuć woń czarownicą, wiejącą z całej postaci. Wykończenie obrazu staranne nad wyraz, przedmiot traktowany śmiało a z prostotą, tło do postaci odpowiednie. Obraz ten został pominięty, równie jak i mogący rywalizować z „samą jedną” *Dulembianki*, *portret pani Akerman*, Merwarta, przedstawiający siedzącą, trochę bokiem do widza staruszkę o sympatycznej choć surowej twarzy, wykończony jak obrazy Delaroche'a.

Pan Merwart nie pierwszy już raz kołaczę do uznania sędziów i ogółu, pierwsi jednak niebardzo dlań są, jak mniemam, życzliwi.

Jeszcze dwa obrazki zwracają naszą uwagę: pana Lepszego Edwarda *Alarm w XVI-ym wieku* i Szwojnickiego *Dwie rozpaczki*.

*Alarm* to pożar w Krakowie, widziany z wieży kościoła Maryackiego; strażnik uderza w kocioł wystawiony na pasach za okno, pochylony przy nim drugi, przykłada do ust dużą trąbę czy tubę. Obok, mały chłopiec pnie się ku górze, do sznura od dzwonu, na prawo ulokowany już jeden szlachcic, przy karabeli, podaje starszemu, w delii podbitej sobolami rękę, aby mu pomódz wygramolić się na schody. Obraz niezły, wykończenie staranne, ubiory wiernie kopiowane i rysunek poprawny wróżą malarzowi pomyslnie jutro.

Obraz *Dwie rozpaczki* Szwojnickiego, przedstawia krwawy zachód słońca na morzu. Na kraju urwiska stoi rybak włoski, rosły, o sympatycznej twarzy mężczyzna, z wyciągniętymi rękami, z wyrazem trwogi na męzkim obliczu, zapatrzony w przedmiot jakiś dla oka patrzących niewidzialny, zapewne w tonącą barkę. Przy nim, na przodzie obrazu kłęczy z załamanami, rękami piękną,

młoda kobieta, żona lub siostra może. Oblicze złamanej bólem, świetnie jest malowane, wszystko co czuje, odbija się na tej pięknej, skrzywionej bezgranicznym teraz cierpieniem twarzy. Obraz ten *dwóch rozpaczy* oświetla bladawo purpura słońca, także niewidzialnego dla patrzących na utwór p. S. co tem większy efekt wywołuje. Perspektywa całości zachowana sumiennie, odzież sfałdowana na postaciach nader zręcznie, podnosi efekt ogólny i miłe sprawia wrażenie.

Rzeźby ograniczają się do *popiersia charakterystycznego* z białego marmuru, przedstawiającego głowę starca z pociesznie wykrzywioną twarzą, p. Zawiejskiego (nagrodzone), Pyrowicza Ludwika *Niewolnicy*, Wojdygi Jana *Rybaka* (nagrodzona) i dwóch popiersi jeszcze.

Praca pana Zawiejskiego bardzo dobra, zasłużyła na odznaczenie i szkoda, że tego samego nie możemy powiedzieć o modelu z gliny Wojdygi, który jest nader pospolity a dzieciak trzyma w ręce rybki, odlane... w formach od lodów z cukierni.

„Niewolnica” p. Pyramowicza, to przedmiot piękny, dość niedbale traktowany. Główną wadą posągu nagiej kobiety, związanej powrozami, jest to, że ma głowę za pospolitą i że postać stoi, miasto leżeć lub być opartą o złam skały. Tak silnie przez piersi skrępowana, z rękami w tył, musi koniecznie stracić równowagę.

Kawałek futra dziwacznie, nieprawidłowo osłania biodro lewe. Sympatya widza dla „Niewolnicy” powróz wtedy dopiero obudzi, jeżeli i wyraz twarzy i kształty ciała wywołują same przez się dodatnie wrażenie.

W ogóle wystawa konkursowa zrobiła małe fiasco a jeżeli to nie wina areopagu sędziów, to i nie artystów z pewnością. Zdolniejsi, z więcej znanem i wyrobionem nazwiskiem, usunęli się... może i słusznie, nie chcąc walczyć o palmę pierwszeństwa ze strażą aniołów i przekrojonym melonem, przepraszam, Sądawką w Syloe.

Z. G.

## PRZEGLĄD LITERACKI.

### Co życie dało. Hajota.

Nim przejdziemy do oceny tego, co życie dało pannie Hajocie, uważamy za obowiązek złożenia aktu uznania nakładcy, który zapewne ze względu na tytuł powtórzony z czeskiego, dał śliczny druk, śliczną okładkę i śliczny obrazek autorki, z którego widzimy, że ma dość sympatyczne lice i piękne, wymowne, czarne oczęta. Jeżeli to... reklama, to zręczna bardzo i winsujemy pomysł.

Zapewne jednak spytacie, kto jest owa panna Hajota (H — J)? Sympatyczna autorka... czego? Tego co... „życie dało”. A cóż nam życie dało? Dużo, dużo smutków i zawodów, morze łez, góry gorzkich rozczarowań, jak wyraża się kwieciście jeden z mych kolegów.

Autorce jednak, nieobrcającej się w sferze społecznych zawodów życie dało... 1 *Zgubioną*. Ale któż jest tą... zgubioną Hajotą? spytacie jeszcze. *Zgubiona*, to niejaka panna Bronisława, bronić siebie nie umiejąca wcale, którą zgubił niejaki pan Maryan, w chwili szału, potem odbie-

rający sobie życie z rewolweru buchającego... *wonią siarki*. Szczególny zaiste rewolwer a szczególniejszy jeszcze przedmiot do nowelli! Życie daje chyba coś bardziej dodatniego i zajmującego niż takie powszednie mizerye mających upaść ochotę dziewcząt i polujących na nie nieponiów, jak ów Maryanek. Nie wiem dlaczego też wywątowano *Zgubioną* jakimś profesorem Rudolfem Zaklinką, brzydkim lecz... *atletycznie zbudowanym*, jak utrzymuje autorka. Zaklince jednak zgubić po raz wtóry *Zgubioną* nieudało się mimo atletycznej budowy i... finita la comedia.

*Czarne paciorki* to wielkie... *nic gładziutko napisane*, pendant do *Jesienią i Wiosną* (zapewne *śród* lub *w jesieni* i t. d.), gdzie widzimy suchotnika, któremu robi się coraz gorzej aż... umarł nareszcie.

Dalej, czytamy nowellę p. t. *Dwa pogrzeby*, w której niejaki pan Karol w jednym dniu, o jednej godzinie i minucie traci żonę, którą kochał i kochankę, którą ubóstwiał. Obie te... panie umierają razem niemal, są wystawione w tym samym kościele, chowane w tym samym dniu. Sens moralny: że nie trzeba mieć żony i kochanki lub kochanki i żony... razem, jak kto woli.

Obrazek grzeszy nieprawdopodobieństwem i bardzo ujemne sprawia wrażenie.

W nowelli *Pamiętasz?* wprowadza nas autorka do zaciszna, zwanego „Cabinet particulier”.

Treść banalna, niczem nieusprawiedliwiona! p. Seweryn, zbałamucił kiedyś... niewinną panienkę, która potem poznawszy się na czarnym charakterze mężczyzny w ogóle, wyszła zamąż za pierwszego z brzegu.

Pamięta jednak bo ma pamięć wyborną, a choćby i zapomniała, przypomniałby jej to Sewerynek, posyłający w którąś rocznicę, przez posłańca swój bilet z nagłówkiem nowelli. Sens moralny: że człowiek dobrze wychowany, gdy zabłądzi do którego z *naszych* „Cabinets particuliers”, musi w nim popęlić... infamię.

Dalej znajdujemy nowellką *Tylko słowo*, ale autorka naśladowująca utwór francuzki, zapomniała, że pijak F. Coopée’go, kreślący na stole zalany winem imię kochanki, to typ przeciętny, a nawet wielkiego poety, jest... arcy dziełem. Naśladowanie Hajoty więcej niż chybione. Od *Fantazyi* uciekamy za góry i lasy, jak również ja.. od *Mojej Tancerki*, nie chcąc należeć do młodzieży pełnej *idealów* i... *żądź*, wedle pojęć panny H.

Do tej samej kategorii niezręcznie pisanych zaliczamy *Nemezys*, *Zakłętę źródło* i *Rok nowy*, do którego wozu sympatyczna autorka zaprzęgała wieszczki, pegazy, muzy i t. d., słowem cały skład nadprzyrodzoności.

Teraz zapytujemy, czy to tylko życie jej dało? Same wstrętne, nielogiczne ujemne strony, same zawody w żądzach i w wybrykach.

Po przeczytaniu, nasuwa się mimowoli myśl, czy nie szkoda takiego ładnego papieru i druku i okładki i ofiarowanego czytelnikom portreciku?

Rozumiemy, że bronzem, marmurem, litografią lub pendzlem, narody czczą swe wielkości, że oblicza swych znakomitości obu płci, przekazują w ten sposób potomności, ale pojąć nie możemy co za cel w przedstawieniu nam przy tomiku przedruków z *Kuryerka* i *Reformy* portretu twórcy tych naśladowań z francuzkiego? Czytelnikom, zapewne, więcej zależy na treści niż na okładce i obrazku.

**\*\* Falszywy przyjaciel.** Korespondent jednej z rosyjskich gazet, dziwiąc się niezmiernie, że w Warszawie i na prowincyi *coraz nowe* powstają kościoły, rozczuła się nad ludnością wiejską, z której jak mówi, ostatni grosz na ten cel wyciskany bywa. Tylko zła wola, przy zupełnej nieznajomości miejscowych stosunków, może do podobnego wniosku doprowadzić. Budowy i restauracyi kościołów podejmuje się ludność z własnej woli, a nawet z żywym i serdecznym uczuciem, że zaś nchwała i rozkład ofiar odbywa się pod okiem władzy, to przecież jest bardzo naturalne.

Naszem zdaniem, władza katolicka dobrze zrobi gdy zastosowawszy się do życzenia korespondenta, ogłaszać będzie sprawozdania roczne, ile kościołów przybyło, a ile ochroniono od upadku, bo w takim razie nikt już nie powie „że trudno obliczyć”.

Słusznie też powiada Przegląd Katolicki, że przyjaźń korespondenta występującego w roli „przyjaciela ludu” nie wytrzymuje krytyki. Największym skarbem jest wiara, czyliż przyjaciel osłabiać ją powinien?

Bodajto przyjaciel! Sprawdza się paradoks, że od nieprzyjaciół łatwiej się uchronić!

**\*\* Konkurencya.** Przemysł krajowy coraz szerzej, zwłaszcza po wsiach, rozwijać się zaczyna. W Hrubieszowskiem, okolicy jak wiadomo bardzo zacofanej pod tym względem, w roku zeszłym powstało kilka gorzelni i browarów. Na szczególną jednak uwagę zasługuje fabryka kaffi założona o wiorstę za miastem, przez powiatowego inżyniera, o ile wiemy, pierwsza, wyrabiająca kaffe na sposób berlińskich. Doskonała więc zdarza się sposobność do wyrugowania wyrobów niemieckich, w znacznej części sprowadzanych do Warszawy oraz innych miast.

Kaffe krajowe odznaczają się dobrocią i trwałością, a co nie mniej ważne, że są dużo tańsze od zagranicznych. W fabryce pracują sami krajowcy, i wyrabiają piece różnych cen i gustu, od bardzo skromnych i tanich do najwykwintniejszych.

**\*\* Arcydzieło u nas.** Jeszcze przed końcem karnawału na wystawie sztuk pięknych spotkamy wielką nowość. Komitet sprowadza z Paryża słynny obraz Munkaczy’ego „Chrystus przed Piłatem”. Właściciele żądają za prawo wystawienia tego płótna w Warszawie 60 proc. dochodu, jaki sprzedaż biletu przyniesie „Towarzystwu”. Pomimo tak uciążliwych warunków, komitet przyjął propozycyą, i oto znawcy i nieznawcy będą mieli sposobność zobaczyć arcydzieło, głośne w całym świecie.

Dbałość komitetu zasługuje na serdeczne uznanie, publiczność zaś o ile możliwości, powinna się odwzajemnić, co w tym razie sprawi jej przyjemność prawdziwą.

**\*\* Nasza czy nie nasza?** Pani Sembrich Kochańska dwukrotnie w tym miesiącu występowała w Wilnie. Koncert był świetny, bilety, chociaż bardzo drogie, w jednym dniu rozchwytały, i co za tem idzie, rezultat dla kieszeni artystki odpowiedział jej wymaganiom.

Wyborowa publiczność, na którą złożyła się nietylko najbliższa okolica, lecz nawet bardziej oddalona miejscowość, oklaskiwała każdy numer; sala była przepelniona po brzegi. Wszyscy zaś, którzy pomimo starań, na żaden z koncertów biletu otrzymać nie mogli, pocieszali się jeszcze, że *diva* da się słyszeć po raz trzeci, co też istotnie mogłoby nastąpić, gdyby nie telegram z Petersburga, zapraszający artystkę do udziału w koncercie na cel dobroczynny. Pani Sembrich opuściła Wilno, i pośpieszyła do stolicy.

Kto wie nawet, może nareszcie po długiej nieobecności, zdecydowałaby się wystąpić i u nas, gdyby ma-

leńkie *ale* nie stało tutaj na przeszkodzie. Artystka żąda 1,000 rs. za wieczór, dyrekcya zaś ofiaruje tylko połowę, i co prawda w dzisiejszych czasach i to już jest dużo.

Nam się zdawało jednak, że chociaż biedni, jako swoi, jako rodacy moglibyśmy sławną śpiewaczkę usłyszeć, okazało się przecież, że pani Sembrich woli pieniądze niż uznanie ziomków.

Nasza więc, czy nie nasza?

**\*\* Czytelnia Towarzystwa ogrodniczego** bardzo pomyślnie się rozwija. Oprócz książek, których jest już sporo, główniejszych pism ogrodniczych i przyrodniczych krajowych, znajduje się 22, w tej liczbie polskich 2, angielskich 3, francuzkich 7, niemieckich 9 i 1 rosyjskie.

Zaznaczamy także przy sposobności, że pierwsza narada uczestników, zapisanych do projektowanej spółki skupu i sprzedaży owoców, głównie prowincjonalnych, odbędzie się w dniu 1 marca wieczorem, w lokalu Towarzystwa Ogrodniczego, Chmielna N. 14.

W naradzie tej, mającej na celu ostateczne zorganizowanie spółki, przyjmie udział i Komisya stała „Towarzystwa Ogrodniczego Warszawskiego”.

Póki czas jeszcze, zachęcamy Czytelniczki, które posiadają ogrody, lub też pragną zużytkować niewielkie fundusze, bez narażenia ich, jak to często w innym przedsięwzięciu się zdarza, do zapisywania się pomiędzy uczestników spółki.

**\*\* Strzeżmy się!** Wyrafinowane kaprysy dawnych piękności zupełnie wyszły z mody, i nikt już dzisiaj nie chciałby im się poddać. Zdaje się, że wiedzą o tem nawet „wróble na dachu”, a jednak nie wiedziała pewna młoda panienka, zaręczona z równie dorodnym młodzieńcem.

Zakochana para, hołdując sportowi łyżwiarskiemu, udała się na ślizgawkę, której panna była szaloną zwolenniczką, jako jedna z najrzęczniejszych egzekuterek „sztuki”. Nacieszywszy się tryumfami, spowszedniałemi już trochę, piękna łyżwiarka prosiła narzeczonego, aby spróbował się ślizgać.

— Ależ ja nie umiem, tłumaczył się biedaczysko.

— To nic trudnego, a zresztą ja chcę koniecznie, odparła energiczna dziewczyna.

Naręczony wynajął łyżwy, lecz za pierwszym posunięciem upadł.

Panna zaczęła się śmiać z niezgrabności swego przyszłego męża, nie przestając nalegać żeby próbę powtórzył.

Zniecierpliwiony, odpiął łyżwy, uklonił się grzecznie i odszedł, a w parę godzin później odesłał pierścionelek.

Wyrzekł się kapryśnicy, która pewno żaluje teraz swej lekkomyślności.

## WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

**\*\* Na dobroczynność.** W wielkiej operze parzyckiej, odbyło się przedstawienie na rzecz ubogich miasta. Wszystko czego może dokonać sztuka i praca, zebrało się tutaj, aby widowisko uczynić zajmującym i powiększyć dochód. Architekci, uczeni, literaci podali sobie ręce i rezultat przeszedł wszelkie nadzieje.

Spektakl obejmował historią teatru od Eschylesa,

aż do XVII wieku, przedstawiano tragedję grecką, komedję rzymską, misterye, farsę Pathelina, Corneillea i Molierea.

Podczas pierwszego aktu „Agamemnona”, który otworzył widowisko, aktorzy przywdziali maski i kurtyny, zamiast orkiestry chóry uzupełniały całość, scena zmieniła się na teatr grecki, słowem złudzenie kompletne. Drewniane maski i peruki budziły ogólne zaciekawienie w widzach, przyzwyczajonych do świetnej wystawy, współczesnych dzieł sztuki.

W Cydzie, z całą ścisłością powtórzone były kostiumy z pierwszego przedstawienia tego arcydzieła, a na zakończenie przedstawiono balet z muzyką Lajarte'a.

Program, zarówno jak wykonanie całości, przynosi zaszczyt komitetowi urządzającemu, a biedni zyskali 100 tysięcy franków. Arystokracja nie stawiała się do apelu, albowiem inicjatorami zabawy byli republikanie.

**\*\* Praktyczność.** W systemie podarunków ślubnych, zaprowadzono w Anglii nową modę, która nie raz może być dla cudzoziemców wielkiem dobrodziejstwem.

Opisy zaślubin drugiej córki prezesa ministrów, panny Maryi Gladstone, zawierają i listę podarunków ślubnych, między którymi figuruje kilka czeków na pieniądze. Jeżeli moda podobna zastosowaną została do panny młodej z tak bogatego domu, spodziewać się należy, iż znajdzie szybkie rozpowszechnienie w uboższych.

Byłoby to bardzo dobrze i praktycznie.

**\*\* Rocznicą.** Z powodu 74 letniej rocznicy urodzin Dickensa, odbyła się w Londynie nader oryginalna i zajmująca uroczystość, której uczestniczyły tłumy osób.

W wielkiej łoży wolno-mularskiej urządzone zabawę, najpierwsze gwiazdy teatralnego świata wypowiedały kolejno różne urywki z dzieł znakomitego autora. Najbardziej zajmującą częścią wieczoru, był bal kostiumowy, którego uczestnicy przybyli wyłącznie ucharakteryzowani na wzór postaci powieściowych Dickensa.

Komicznych figur znalazło się mnóstwo, największą jednak wesołość wywołała, znana z procesów artystka, Welden, przedstawiająca sierżanta Burfuza, z nieodstępną swoją towarzyszką, panną Menier, przebraną za p. Bardell.

## ZAKŁAD NAUKOWO-REKODZIELNICZY

pod kierownictwem

Natalii Smólskiej,

przy ulicy Ś-o Krzyckiej N. 19.

Przyjmuje uczennice na naukę pojedynczych rzemiosł za opłatą rs. 5 miesięcznie. Za opłatą zaś miesięcznie rs. 15 odbywać się będą wykłady całych grup przedmiotów do jednej specjalności należących, dla tych osób, które z nauki swej zapragną wyrobić sobie stanowisko fachowe. I tak:

*Dla Modystek* wykładane będą: krój sukien, krój bielizny, stroje, szycie w rękę i na maszynie i część towaroznawstwa zastosowanego do tego zawodu.

*Dla gospodyń wiejskich:* Ekonomia domowa, Rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo, Jedwabnictwo, Wiadomości o drobiu i pszczołach.

*Dla poświęcających się kupiectwu:* Buchalte-

rya i korespondencya handlowa, towaroznawstwo ogólne.

Ponieważ dla rozpoczęcia kursu potrzebny jest komplet z 6-u osób, przeto panie z prowincyi, dla dogodności, na naukę bądź pojedynczych przedmiotów, bądź wymienionych grup, zapisywać się mogą listownie, adresując swe żądania do Natalii Smólskiej i nadsyłając pierwsze po rs. 5, drugie po rs. 15 i markę na odpowiedź, a o terminie rozpoczęcia wcześniej zawiadamianemi będą.

Zarząd Zakładu pośredniczy, na żądanie, w wynajęciu dla uczennic odpowiedniego lokalu i stołu w domach zacnych i przyzwoitych i rozciąga troskliwą opiekę nad temi, które mu przez rodziców powierzonymi zostaną. Na lokal i stół, pragnące takowych za pośrednictwem Zakładu, nadesłać raczą pod wyżej wymienionym adresem, miesięczną opłatę rs. 25.

**Czas trwania i sposób opłaty są następujące:**

**Nauka fachowa w grupach, opłata kwartalna po rs. 45 z góry.**

*Modniarstwo:* krój sukien, krój bielizny, szycie na maszynie i w rękę, stroje i część towaroznawstwa, kwartałów 2 (miesiące 6).

*Gospodarstwo wiejskie:* Ekonomia domowa, rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo z praktyką podczas miesięcy letnich, Jedwabnictwo, Pszczolnictwo i hodowla domowego inwentarza do kobiecego gospodarstwa należące — kwartałów 3 (miesiące 9).

*Kupiectwo:* Buchalterya i korespondencya handlowa, towaroznawstwo ogólne i obznajmienie z prawem handlowem — kwartałów 2 (miesiące 6).

Lekcyje odbywają się codziennie, po 2 godziny rano i tyleż po południu.

**Nauka pojedynczych przedmiotów, opłata miesięczna rs. 5 z góry.**

Krój sukien	miesiące	3
„ bielizny	„	2
Stroje	„	3
Rękawicznictwo	„	6
Introligatorstwo	„	6
Buchalterya	„	6
Kwiaty sztuczne	„	6
Drzeworytnictwo	„	12
Zegarmistrzowstwo	„	12
Heliominiatury	„	2
Retuszerya	„	6
Koszykarstwo	„	6
Rysunki zastosowane do rzemiosł	„	6
Ekonomia domowa	„	3
Koronkarstwo	„	3
Jedwabnictwo	„	6

Przygotowanie do Buchalteryi po rs. 4 miesięcznie

„ „ Korespondencyi „ 4 „

Lekcyje co drugi dzień po dwie godziny.

Po ukończeniu kursu i zdaniu egzaminu, uczennice otrzymują świadectwa uzdolnienia.

U ZACNEJ rodziny (Florentyny Cywińskiej), stancya dla panien kształcących się, opieka macierzyńska, ciągła konwersacya w językach obcych. Cena przystępna. Hoża 26, miesz. 7.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.